

Lecz piękne imię jest jako święta szata. Czo-
 wiek suknie, a nie suknie człowieka czyni. Imię
 dawne przysłówie. Kiedy w święty strój przyjdzie
 ubierz się człowiek, reszpeci suknie, a siebie nie
 podnieśli. W owym przysłowie jego ten wydatniejsz
 się pokaze; jeżeli zaś inny poplamionym i podar-
 tym okryje się płaszczem, lecz zaraz plany wy-
 wabi i dziny polata, ten większa stąd dla niego
 zasługa. Odtąd kto wziął po ojca wielkie imię,
 wziął z nim ciężkie obowiązki; bo pamięć dzieł
 do tego imienia przysługanych, w każdym kroku

Za czasów Zygmunta Starego żył Konstanty
 Ostrogski. Kto on był, jaki jego żywot i sprawy,
 o tém obszernie historia powiada: Od młodocia-
 nych lat, aż do późnej starości, zawsze na koniu
 z szablą w ręku, uganiał się z nieprzyjaciół,
 a hetmaniąc dzielnym rotom, nie żałował swojej
 krwi. To téż ranami okryty, miłością całego na-
 rodu, przyjaźnią króla uczczony, umarł w późnym
 wieku. Trzydzieści trzy bitew stoczył, a z tych
 dwie tylko przegrał; to téż imię jego było za życia
 i po śmierci głośnie, i każdy miał przed nim usza-
 nowanie, bo to był człowiek, który dni swoje po-
 święcił dla Ojczyzny.

Dawni towarzysze rozpusty poznali wnet, że wszystkie ich zabiegi nie przydadzą, się na nic, opuścili więc po jednym włości Konstantego; ucichł zamek Ostroga, bo dziedzic jego zamykał się w sobie, wiodąc życie na modłach, w poście, umartwieniu ciała i rozpamiętywaniu. Pokrzepioną pracą ducha rozpoczął życie czynniejsze, a że właśnie rzecz popolita narażona była wojną z Turkami, zastawił połowę swych majątności i uformowawszy dwie chorągwie, poszedł na wojnę jako prosty żołnierz.

Wrócił kilkakroć raniony, a choć dotknięty niemocą ciała, nie spoczął duchem. Jak pierwiej niedbałym był o los kmiotków, nieczułym na nieszczęścia sąsiadów, obojętnym o chwałę Bożą, tak teraz pilnie się krzątał koło wszystkiego, co wchodzi w zakres powinności prawego obywatela. Dziwowali się ludzie, sławili dobrego pana, ale on unikał pochwał i dziękczynień, a szukał nowego pola dobrego czynienia, jakby ilością pięknych postępów, szeregiem ofiary, trudów i poświęcenia chciał oczyścić skalaną przeszłość.

Wśród takiego życia czynnego i świętobliwego, wśród modłów i usług dla bliźnich, upłynęło Konstantemu lat trzy. Pewnego wieczora uczuł się

słabym, odmówiwszy pacierze, położył się wcześniej i usnął. W nocy przyszło znów po raz trzeci widzenie, ale jakieś było odmienne od przeszłych. Nie lękał się téż go Konstanty i wyciągnął ręce przed starcem, którego twarz jaśniała świętą powagą a oczy błyskały radością. Wysłuchał Pan moich modłów, wyrzekł powolnie hetman, dziękuję ci mój wnuku, a w nagrodę twój poprawy oznajmiam, iż przepuszczone są twoje winy i otwarte podwoje niebios. Jutro przyjdę po ciebie. —

Zniknął starzec a Konstanty obudziwszy się, posłał po czcigodnego proboszcza, któremu wszystkie trzy widzenia opowiedział. Uznał kapłan w sprawie téj palec Boży i na pobożnej rozmowie i modłach spędził z chorym aż do rana.

Choroba postępowała szybko, a czynny duch Konstantego chcąc ją wyprzedzić, spieszył się z objawieniem swój ostatniej woli, wynurzał kapłanowi pobożne zamysły, których nadchodząca śmierć nie dozwalała wykonać, objaśniał ze stanem majątku, część jego przeznaczył na kościół, część poświęcił sprawom publicznym, a resztę jako bezdzielny kazał rozdać między ubogich i na miłosierne cele przeznaczył.

Uprzątnąwszy się ze wszystkim, co po nim na tym świecie zostawało, nie przepomniawszy o żadnym słudze i domowniku, o żadnej wdowie i sierocie, które jego hojna ręka utrzymywała, poczuł, iż gd opuszczają siły ciała. Wzniósł więc ducha ku Bogu i tém goręcej począł się modlić. Zbliżało się południe; łoże otoczyła wierna czeladź, kapłan siedział przy łożu, a chory przyjąwszy ostatnie Sakramenta w radosnem upojeniu, zdawał się oczekiwać chwili skonu. Na twarzy jego bladój rozlał się wyraz pokoju, snąc, że w tern ciele była dusza gotowa stanąć przed Panem. Uśmiech sprawiedliwego głuszył cierpienia ciała, a oczy pełne zachwytu wzniosł w górę, jakby się spodziewał ujrzeć posłańca niebieskiego, któryby ducha jego zaniósł przed tron Przedwiecznego.

Trwało to czas niejaki, kiedy naraz wśród jasnego dnia, jakieś złote światło rozlało się po niebie. Z podwórza doszedł głos podziwienia i trwogi, bo ujrzano po nad zamkiem postać człowieka klęczącego, od którego rozchodziła się owa promienna światłość. Byłto dziad konającego hetmana, któremu Bóg dozwolił towarzyszyć wnukowi z tej ostatniej wędrówki. Starzec siwy jako gołąb,

w śnieżnym stroju, otoczony wieńcem gwiazd i złotą, przejrzyszą mgłą, klęczał w powietrzu nad omszałym grodem i złożywszy sędziwe ręce, modlił się do Boga. W téj saméj chwili na twarzy konającego zabłysła radość niebieska, westchnął po raz ostatni i dusza jego połączyła się z tym, który był stróżem jego żywota.

- « e » -

Lecz piękne imię jest jako świetna szata. Człowiek suknię, a nie suknia człowieka czyni, mówi dawne przysłowie. Kiedy w świetny strój brzydki ubierze się człowiek, zeszpeci suknią, a siebie nie podniesie, i owszém brzydota jego tém wydatniejszą się pokaże; jeżeli zaś inny poplamionym i podartym okryje się płaszczem, lecz zaraz plamy wywabi i dziury połata, tém większa ztąd dla niego zasługa. Otóż kto wziął po ojcach wielkie imię, wziął z nim ciężkie obowiązki; bo pamięć dzieł do tego imienia przywiązanych, w każdym kroku dla ludzi będzie porównaniem, dla niego zaś uznaniem spełnionego obowiązku, lub potępieniem. Bywały dawniej rodziny, że syn po ojcu nieskalane wzięwszy imię, wśród ciężkich prób twardego żywota nieskalaném je wnukowi przekazał, i to się zwało klejnotem szlacheckim. Bo choć zginęła po przodkach puścizna, zostało się imię, a przezeń otwarta do wszystkiego droga. To kiedy pokolenie po pokoleniu pędząc życie po Bogu, jaśniało zawsze staremi cnoty, ludzie wiedzieli, że jaki ojciec, taki syn, i całą rodzinę pocziwém zwali gniazdem, chcąc przez to powiedzieć, że w orlem gniazdzie nie ulegnie się nietoperz.

Dbano więc o swoje imię i kiedy młodzież wyprawiano z domu, upominano ją, aby go nie skalała. Kalało zaś nietylko to złe, co ludzie widzieli, ale i to czego nie wiedzieli; błąd jest jako rdza, która hart żelaza nadwątła: czy więc skryjesz, czy pokażesz żelazo, nie będzie ono miało téj, co pierwej mocy.

Wnuk hetmana Ostrońskiego ochrzcony na pamiątkę dziada tém samym imieniem, wcześniej sam sobie był oddany. Odumarli go rodzice, nie dbali o niego opiekunowie, a młody Konstanty ujrawszy się panem niezmiernego majątku, zapomniał, co Bogu, ludziom i sobie samemu był winien i otoczywszy się zgrają młodych i starych rozpustników, pędził życie na hulance. W zamku Ostrogu zmieniły się obyczaje, mchem porosły mury, na które niegdy zataczano działa i stawiano strażę przeciw nieprzyjaciołom, rozpuszczono rotę kozaków, z którymi ś. p. hetman wyjeżdżał na wojnę, porzuciły szable rozrzucone w nieładzie w zbrojowni, a za to w zamku huczno było od dnia do dnia i wesoło, grzmiała weselna muzyka, brzęczały kielichy, kurzyły się misy z wymyślnemi potrawy i z pośród murów, które dawniej tylko szczęk zbrojowy i psalmy

Dawida zwykły były słyseć, rozchodziły się śpiewy rozpustne pocziwym ludziom na zgorzenie.

Był kraj nieraz w potrzebie, podupadł sąsiad z ojcami zażyły, spaliły się chaty włościńskie, nachylił się dom Boży. Pan Konstanty choć możny i wielkiego majątku dziedzic, nie wiedział, nie sły-szał o niczem. Upominano, przedstawiano napróžno, ofuknął się tylko płochy mokłos, a nie chcąc przyznać, jakoby te przestrogi robiły na nim wrażenie, tracił czas, siły i majątek. Miał zaś wtedy 18 lat życia.

Jedną nocy pił mniej jak zwyczaj, śmiał się nie tak serdecznie, nudziły go żarty towarzyszy, zabawy, i nie wiedząc jak odpędzić zły humor, poszedł do alkierza. W alkierzu jego wisiał portret ś. p. hetmana, spojrzął na niego Konstanty, ale markotny spuścił wnet oczy i rzucił się na łożo. W krótcie zasnął.

W nocy śni mu się, iż obraz poczyna się ruszać i hetman z niego zstępuje. Wolnym krokiem przychodzi do śpiącego i wzrokiem mocnym uderza, jakby go chciał obudzić. Ze strachem spojrzął na niego Konstanty, twarz hetmana jeszcze surowszego wyrazu nabrała. Czego chcesz odemnie? zawołał

młody. Milczał starzec, tylko wzrokiem i postawą groził. Powiedz czego chcesz? błagalnie zawoła znów wnuk. Nie godzieneś ze mną mówić, upamiętaj się, wyrzekł hetman straszonym głosem, tak, że się młodzieniec ze snu ocucił.

Zerwał się z łoża, noc była ciemna, lampa świeciła przed obrazem. Z nieśmiałością spojrzal na obraz, zdawało mu się, że na twarzy hetmana pozostała też sama groźba, którą we śnie widział. Nie mógł znieść jego wzroku, ucieka z sypialnego pokoju do izby biesiadniej. Tam dopalają się lampy, biesiadnicy spojeni leżą przy stołach, powywracane krzesła, z porozbijanych butelek po podłodze ciecze wino. Pierwszy raz uczuł jakiś wstręt na ten widok rozpusty; bo może po raz pierwszy był trzeźwy między pijanymi. W myśli tkwiły mu groźne rysy dziada, grzmiały surowe słowa: upamiętaj się, niegodzieneś ze mną mówić, przed oczami zaś widział tych ludzi, z którymi pędził życie, z którymi się ścisnął i ucztował dnie całe.

Ciężko mu przeszła noc, nareszcie przed ranem usnął. Dziwne miał sny, które go jeszcze bardziej zmęczyły, tak, że wstał kiedy już słońce było wysoko na niebie, a zdziwieni towarzysze czekali nań

z niecierpliwością, a chcąc po dawnemu dzień rozpocząć od biesiady; gdy go ujrzeli, uderzyła wszystkich nadzwyczajna bladość i ponury wyraz twarzy. Nie chciał się tłumaczyć Konstanty, unikał odpowiedzi, wymawiał się słabością, ale chumor jego był zanadto zmieniony, ażeby towarzysze nie odgadli, że coś ważniejszego stać się musiało. Nacierali na niego tern mocniój, dopóki im wszystkiego nie opowiedział.

— Sen mara, krzyknyli wszyscy, śmiejąc się do rozpuku. Ot cobyś uważał na takie dzieciństwa, do ciebie panie Konstanty. — Nie, to nie dzieciństwo, zawołał młody, na własne oczy widziałem, jak się obraz ruszał. —

— Byłeś rozespany, śniły ci się marne rzeczy, nie chciałeś wczoraj bawić się z nami i tak ci się uwidziało. —

— Dalibóg panie Konstanty, zawoła drugi, wybij sobie to z głowy, bo się jeszcze rozchorujesz. Patrzajcie jak on się zmienił. Prawda, jak pobladł, krzyknęli, panie Konstanty, co tobie? —

Zniecierpliwiły te pytania młodego, chciał wyjść z pokoju. Obstąpili go znowu, zaczęto ścisnąć, całować, zaklinać w imię przyjaźni, w imię weso-

łości. Wypił jeden kielich Konstanty, raźniej mu się zrobiło, wypił drugi, wkrótce ustąpiły z myśli czarne wspomnienia, apetyt i dobra przekąska dodały humoru i w kilka godzin młody dziedzic weselszym był niż kiedykolwiek.

Żle się stało, że tak prędko dał w sobie zagłuszyć głos opiekuńczy, który go doszedł z nieba, źle się stało; bo młody Konstanty znalazł karę w własnym życiu. Po dawnemu wróciły się tańce i biesiady, po dawnemu zamczysko jego, niegdy siedziba starych cnót, stało się ludziom zgorszeniem.

Upływał dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, upływały i lata po latach, a nic się na zamczysku Ostrogskiem nie zmieniało. Tylko sąsiedzi ze wzgardą i oburzeniem odwracali oczy, pobożny wieśniak mijał bramy bojąc się rozpustnej służby zamkowej, na podwoje grodu nie miał po co zachodzić kapłan Boży. Mimo to nie brakowało towarzyszy panu Konstantemu; bo nie brakowało mu dostatków, ale ubywało powoli sił i zdrowia. Jakaś nuda, przesyty, niesmak coraz częściej zasępiły mu duszę, zmarszczały bladą i zmęczoną twarz. Czuł, że nie takby żyć powinien, a inną drogę przed sobą nie widział, wreszcie nie stałoby go już było na odmianę.

Ale co jest niepodobnym w ręku ludzi, łatwém jest dla Boga. Odwróciły się wszystkie twarze od Konstantego, ale nie wyszło źródło miłosierdzia. Przed tronem Najwyższego klęczał snąc hetman, modląc się do Pana, by dał wnukowi jego upamiętanie. Gorące modły wysłuchał Bóg i staremu hetmanowi dał moc zstąpienia na zimę.

Upłynęło już od pierwszego widzenia lat dwa-naście. Podobnie jak pierwszą razą, noc była głucha i ciemna, Konstanty spał na łożu niespokojnie, wzdychając ciężko i odganiając od siebie mary. Nagle spostrzeżga znowu obraz swojego dziada, który od dawna z alkierza wyrzucił. Wpatruje się w niego; postawa hetmana poczyną przybierać wyraźniejsze formy, występują mocniej rysy twarzy, nogi, ręce, głowa, cały korpus stopniowo uwalnia się z płótna i starzec zstępuje na ziemię.

Zadrzał, pobladł Konstanty, stłumił w sobie oddech, chciał się odwrócić, ale nie mógł, chciał oczy zamknąć, ale choć obie ręce przyciskał, zdawało mu się, że tém mocniej groźną postać dziada wtłacza w myśl. Powstał więc z łoża, starzec był tuż przy nim.

— Jakżeś mnie usłuchał Konstanty, rzecze starzec.

Zamarł głos w piersiach młodemu, silił się, by coś przemówić, ale nie mógł; jakąś nadludzką mocą zgięty upadł na kolana i wbił czoło w ziemię.

— Przebrałeś miarę miłosierdzia Pana, ale modły moje wyjednały ci czas ostatniej próby. Za trzy lata umrzesz.

— Panie, jęknął młody i gdy się podniósł, zniknął starzec, a Konstanty oczucony, oblany zimnym potem, strachem i boleścią zdjęty, ujrzał się klęczący i nachylony w tę stronę, gdzie dawniej wisiał obraz. Cicho było wszędzie, z pobliskiej sali dochodziło tylko jego uszu chrapanie pijanych biesiadników, ale w jego uszach brzmiały tylko te trzy straszne słowa. Za trzy lata umrzesz.

Nie było próżnem powtórne ostrzeżenie. Mimo lat strawionych bezbożnie, zostały się jeszcze w sercu Konstantego poczciwe zasady. Powtórny cud, o którego rzeczywistości nie mógł już wątpić, wstrząsnął całym jego jestestwem, natchnął siłą, owionął jakąś świętością celu i dążenia i uczynił niezłomnym w obec szyderstw swoich towarzyszy, w obec pokusy złego, w obec nalogów i przywar z przeszłości wyniesionych.